

Tempo kraju sputników

ZSRR — USA nowe 10-lecie rywalizacji

Porównanie jest chyba szczególnie wyraziste: obecnie Związek Radziecki produkuje w ciągu sześciu miesięcy tyle samo, ile wytwarzał w ciągu roku (1954 rok). Szczególny dynamizm wykazuje przemysł chemiczny, legitymujący się za I półrocze 1964 roku 14-procentowym wzrostem produkcji. Średnie tempo wzrostu dochodu narodowego w latach 1962 i 1963, mimo iż było to dla ZSRR lata rolniczego nieurodzaju, wynosiło 5,1 procent, a roczny przyrost produkcji przemysłowej wyniósł 9,1 procent.*)

Dziesięciolecie 1954—1964 to zarazem okres rozwiązywania przez Związek Radziecki problemu stopy życiowej. Obecnie uważa się, iż przeciętny poziom warunków bytowych obywateli ZSRR jest wyższy niż w USA, gdzie obok dobrobytu materialnego większości społeczeństwa istnieje okręgi, czy środowiska, nędzy.

Nikt dosadnie nie scharakteryzował sytuacji materialnej części społeczeństwa amerykańskiego, niż sam prezydent Johnson w orędziu o sytuacji gospodarczej kraju, wygłoszonym dokładnie przed rokiem. LBJ stwierdził dosłownie, iż 34 do 35 milionów Amerykanów „żyje w nędzy”, a „gadanie o najwyższej stopie życiowej jest dla tych ludzi pustym dźwiękiem. Żyją oni bez żadnej nadziei, poniżej minimalnych wymogów przyzwoitego ludzkiego bytu”.

Liczba bezrobotnych systematycznie wzrasta — stwierdziła rada rzeczoznawców gospodarczych prezydenta Johnsona. W roku 1963 oficjalne dane USA podały liczbę 4 milionów zarejestrowanych ludzi, poszukujących pracy. Nastąpiło pogorszenie w zakresie opieki lekarskiej nad obywatelami Stanów: w omawianym dziesięcioleciu zmniejszył się wskaźnik lekarzy na 10 000 mieszkańców i wskaźnik łóżek szpitalnych. Jednocześnie zanotowano dziesięcioprocentowy wzrost kosztów leczenia, a ceny medykamentów wzrosły w tym czasie o mniej więcej 30 procent. Ubezpieczenia na wypadek choroby obejmują w USA tylko 25 proc. pracujących, a rentami starczyli objęto jedynie 1/3 robotników, przy czym średnia wysokość rent sięga zaledwie 22 procent płac.

W dochodach farmerów amerykańskich w ostatnim dziesięcioleciu zaszły również niekorzystne zmiany. Zgodnie z urzędowymi danymi, dochody rolników były w 1963 roku (12,8 mld. dol.) niższe niż w roku 1953 (13,2 mld.). W tym samym okresie płace robotnicze w USA, głównie dzięki intensyfikacji pracy, wzrastały rocznie w średnim tempie 1,8 procent. W sumie — dziesięciolecie 1953—1963 nie przyniosło realnej poprawy w poziomie bytu ogółu spo-

*) Porównaj art. „ZSRR — USA nowe 10-lecie rywalizacji” z 24 bm.

łeczeństwa amerykańskiego. Nie ulega wątpliwości, iż tak zwany szary obywatel USA, nawet ten nieźle zarabiający, nie może wyzbyć się trapiącego go niepokoju o jutro. Wiza choroby, niezdolności do pracy na stare lata, czy wręcz — bezrobocia, zmusza do podejmowania na własną rękę prób zapewnienia sobie względnie dostatniej starości.

Wiele można by pisać na temat ubóstwa części amerykańskiego szkolnictwa, bądź o straszliwych rudach, z konieczności zamieszkanych przez znaczny odsetek obywateli USA. Kontrasty i społeczne przepaści pomiędzy fasadą zamożnej Ameryki i kulisami Ameryki ubóstwa — są kolosalne. Kapitalizm nie jest zdolny do zniwelowania różnic, dzielących te dwie Ameryki.

Zupełnie inne tendencje obserwujemy, zwłaszcza w ostatnim dziesięcioleciu, w Związku Radzieckim. W ubiegłym roku na przykład podniesiono tam płace 18 milionom pracowników, zatrudnionych w sferze usług — przeciętnie o 21 procent. Ogółem w latach 1953—1963 realny dochód przeciętny na każdego pracującego wzrósł o 61%, co pozwoliło ludności na burzliwe zwiększenie zakupów najrozmaitszego rodzaju towarów pochodzenia rolnego i przemysłowego.

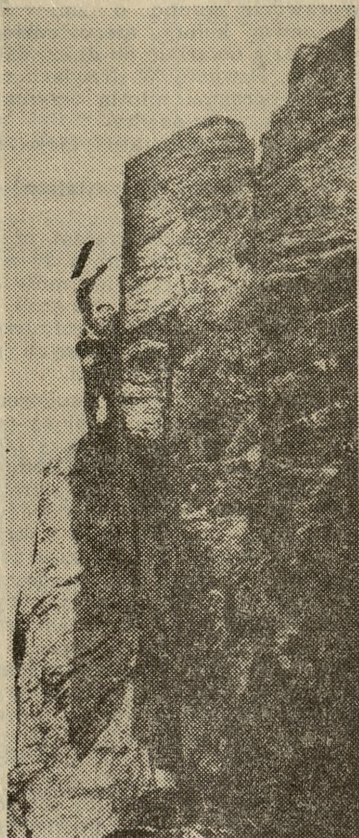
Radziecki system ubezpieczeń chorobowych obejmuje wszystkich pracujących. Wszyscy zatrudnieni objęci są ubezpieczeniem rentowym (średnio renta opiewa na 60% płacy), w roku 1964 wprowadzono także emerytury dla kołchoźników. Podczas gdy w USA z płatnych urlopów korzystają głównie ludzie, którzy mają przynajmniej pięcioletni staż pracy, przy czym urlopy trwają przeważnie 7—14 dni, w ZSRR każdy pracujący uzyskuje 14—28 dni urlopu, lub nawet (w określonego typu zakładach) więcej.

I o tym wszystkim — a nie tylko o liczbie produkowanych przez USA samochodów — trzeba pamiętać, przy dokonywaniu porównań, przy zestawianiu danych, dotyczących aktualnego poziomu rozwoju gospodarczego i społecznego obu czołowych państw świata.

Jest jeszcze jedna dziedziną, w której rywalizacja pomiędzy Stanami Zjednoczonymi i Związkiem Radzieckim trwa w całej pełni, dziedziną najbardziej współczesną ze współczesnych: to współzawodnictwo o prymat w kosmosie, o pierwszeństwo w opanowywaniu jego tajemnic. Jest oczywiste nawet dla kompletnego laika, że o sukcesach na tym polu marzyć może jedynie kraj, dysponujący olbrzymimi zasobami materialnymi, wysoko rozwiniętym przemysłem oraz rzeszą znakomitych uczonych.

Związek Radziecki udowodnił światu, że rozwój fizyki, matematyki, biologii, chemii — osiągnął w tym kraju poziom, wysuwający go przed

Wbijający hak



Józef Myszkowski

Z wystawy „Skalny świat” w BWA

Stany Zjednoczone. ZSRR przoduje w zdecydowanie w pokojowym wykorzystywaniu energii atomowej, w kolejnych etapach podboju kosmosu, w konstruowaniu rakiet najrozmaitszego typu i przeznaczenia. Znamienne jest przy tym to, że — zgodnie z opinią kół naukowych naszego globu — Związek Radziecki systematycznie zwiększa swą przewagę w tych działach nauki, gdzie wysuwał się przed Stany Zjednoczone.

Artur Kantrowitz, wybitny amerykański znawca zagadnień techniki kosmicznej, wypowiedział się na temat radzieckich sukcesów w opanowywaniu kosmosu, następująco: „Nie stety, z roku na rok staje się coraz bardziej oczywiste, że pozostajemy coraz bardziej w tyle. W momencie startu pierwszego sputnika, nasze opóźnienie wynosiło 4 miesiące, po pierwszym locie orbitalnym (radzieckim — S.O.) z załogą — 10 miesięcy, a obecnie jesteśmy w tyle o kilka lat...”

Twórczość ludowa z perspektywy 20 lat

Badali jej stan znawcy, wielu z nich kręciło głową z niepokojem. Opukiwali i „znachorzy”, sypali garście gorzkich słów jak owe lecznicze ziółka, które nie pomogą i nie zaszkodzą, by po tych magicznych zabiegach w poufnym gronie zawyrokowali: — No cóż, czas już na nią. Nie ma nadziei...

Dziwny jest nasz stosunek do niej. Negatywny — ale nie z pełnego przekonania, raczej — sądzę — z obawy, aby nie narazić się na zarzut zacoiania. Znam przeciwników ludowej twórczości artystycznej, bo o niej tu mowa, którzy z przyjemnością słuchają nadawanych przez rożgłośnie audycji regionalnych, delectują się piosenkami „Mazowsza” nagranymi na płytach, przykrywają łowickimi makatami tapczany, wieszają na ścianach wycinanki.

Skąd się bierze to „podwójne” wartościowanie twórczości ludowej? Po pierwsze z miasta, po drugie z za opłotków wiejskich. I jest jeszcze trzecia przyczyna a mianowicie — twórczość ludowa, tak jak każda twórczość, kształtuje się i zmienia według potrzeb społecznych.

Zacznijmy od miasta. W ciągu 20 lat pomiędzy nim a wsią zlikwidowane zostały graniczne rogatki kulturalne. Wieś z miasta wywozi po dzień dzisiejszy elementy kulturalne, rozpowszechnia je u siebie. Przysparzają one wygod wszelkiego rodzaju, wnoszą urozmaicenie w szare życie. Wieś widzi w mieście znacznie więcej walorów niż ich tam można znaleźć. Miasto, dysponujące instytucjami i fachowcami z zakresu dziedzin techniki, organizacji, kultury stało się dla wsi wyrocznią.

Cokolwiek więc nosi na sobie „znaczek” miejskości, godne jest szacunku i przyjęcia, idzie w uroczystym pochodzie na wieś. Szczególnie łaśa na nowości jest młodzież wiejska. Często bezkrytycznie, w ten sposób na polu kulturalnym wsi wraz z cennymi wartościami zjawia się i miejska tandeta.

W tej sytuacji artysta ludowy przestaje pracować na rzecz i według upodobań swojego środowiska, coraz bardziej czuje się samotny, czasem jest zaledwie potrzebny. Kto by na przykład w mieszkaniu wiejskim postawił rzeźbę spod miejscowego dłuta? Fabryczne wyroby za to mają powodzenie.

Do podtrzymania dorobku twórczości ludowej przyczynili się w dużej mierze władze państwowe przez powołanie do życia specjalnych instytucji. Centrala Przemysłu Ludowego i Artystycznego zajęła się kupnem i zbytem wytworów plastycznych (rzeźba, malarstwo, koronkarstwo, słomkarstwo), muzea zaczęły gromadzić te dzieła i urządzać wystawy. Folklorem muzycznym szczególnie zainteresował się Instytut Sztuki Polskiej Akademii Nauk, tekstami ludowymi — Polskie Towarzystwo Ludoznawcze w ramach wydawnictwa „Literatura Ludowa”. Powstały niezwykle cenne zbiory.

Równocześnie w podtrzymywaniu żywotności kultury regionalnej dużą pomoc okazały zespoły pieśni i tańca. Niektóre z nich niedługo pożyły. „Pomogli” im sami miłośnicy regionalizmu. Ci starali się za wszelką cenę zachować artystyczną kulturę ludową w całej swojej autentyczności. To, co powinno znaleźć się w zbiorach muzealnych, miało żyć. Nie mogło to się podobać odtwórcom i odbiorcom, żądającym czegoś nowego.

Inaczej stało się z zespołami, które korzystały z fachowego kierownictwa: kompozytorów — dyrygentów, choreografów, reżyserów i inscenizatorów. Ludowej twórczości muzyczno-tanecznej nadali oni oprawę i formę widowiskową, posłużyli się obrazkami obyczajowymi i obrzędowymi, układami przyjemnymi przez sceny operowe. Wprowadzanie ciągłych zmian dało mnóstwo koncepcji. Zadbano też o wysoki poziom. Regionalizm stał się ciekawy, uroczy, świeży. Zabyły zespoły: „Mazowsze”, „Śląsk”, „Wielkopolska”, „Cielisia” i inne. Uznawanie zdobyły za granicą i w dużych miastach kraju. Równocześnie w ramach wymiany kulturalnej z zagranicą przede wszystkim miejska publiczność polska zobaczyła zespoły z innych krajów, wcale nie przewyższające naszych rodzimych, ale dowodzące swoim istnieniem o dużym szacunku do twórczości ludowej w innych państwach.

Tą drogą twórczość artystyczna wsi zyskała aprobatę i bardzo wysoką ocenę miasta. To uratowało ją od skostnienia i powolnej śmierci.

A jakie są dalsze jej perspektywy? Wzór i przykład dużych miast, działalność zespołów regionalnych, stylizacje — wróżą jej powrót do rodzimych stron, na wieś. Tylko wieś musi sobie jeszcze „pożachować”, aż to jej się nie znudzi. W ożywieniu kultury ludowej mogłyby dużo zdziałać szkoły i... moda. Jeśli młodzież nie tańczy oberka, kujawiaka, mazura itd. — to dlatego, że nie umie. Dlaczego polskich ludowych tańców nie uczy w szkole?

Przedsiębiorstwo „Moda Polska” mogłaby także w ramach lansowania nowych krajów i doboru ozdób do strojów oprzeć się na elementach ludowych (np. haft). Moda ma swoją siłę społeczną chociaż jest przemijająca. Gdy w jej koło pomysłów raz wplecie się ludowość, jest nadzieja, że po rotacji następnych znów na nią przyjdzie kolej.

Wróżby dla artystycznej kultury ludowej są pomyślne. Żeby się spełniły potrzebna jest odwaga szanowania i korzystania z jej bogatego tworzywa. To od nas samych zależy.

Poznańscy pisarze



Przekroczył zaledwie trzydziestkę, a już ma spory dorobek pisarski. Więc chyba bardzo wczesnie debiutował? Od tego pytania trzeba było zacząć.

— Istotnie, debiut prasowy wypadł bardzo wczesnie, byłem wtedy uczniem IX klasy, mój wiersz zamieścił „Głos Wielkopolski”. Podpisał go J. Ratajczak, „Głos” podała

„Jan Ratajczak”. Ponieważ zaś Jan to imię mojego ojca, długo go potem znajomi wypytывali odkąd to na stare lata wziął się do poezji. Ta debiutancka pozycja była wierszem satyrycznym. Swoista ironia losu, bo przecież zajmuję się prawie wyłącznie liryką i już wówczas dominowała ona w mojej twórczości.

— Proszę teraz przypomnieć okoliczności pańskiego debiutu książkowego.

— Była to wypadkowa różnych, niewesołych dla mnie okoliczności. Długotrwała choroba, pobyt w szpitalu, sanatorium — i wiersze pisane pod bezpośrednią presją tych okoliczności. Był to także okres mojego uczestnictwa w grupie literackiej „Wierzbak”. Wiersze te były bardzo osobiste, poruszały intymne sprawy, wynikały z moich niemiłych doświadczeń. Były drukowane w prasie („Tygodnik Zachodni”, „Wyboje”). Powstawało wtedy Wydawnictwo Poznańskie, które zamierzało rozpocząć serię debiutów. Toteż Włodzimierz Odojewski i Stanisław Hebrański poprosili mnie o wiersze, zrehabilitowali z nich tomik, załatwili wszystko z Wydawnictwem i gdy na Gwiazdkę 1957 roku wróciłem do domu z sanatorium zastałem pod choinką tomik pt. „Niepogoda”, mój poetycki debiut książkowy.

— Zdaje się, że wkrótce potem posypały się nagrody za ten tom,

szybko też wydał pan kolejne tomy poezji, a potem i prozy?

— Przede wszystkim zaskakujące było dla mnie dobre przyjęcie tego tomiku przez czytelników. Rozszedł się błyskawicznie, były liczne interwencje czytelników w sprawie zdobycia książki, donoszono, że sprzedaje się ją spod lady. Książka otrzymała nagrody tygodnika „Wyboje”, Poznańskiego Listopada Poetyckiego, Klubu „Od nowa”, przyniosła mi też Nagrodę Młodych Miasta Poznania. Potem wydałem dwa dalsze tomy wierszy: „Zamknięcie krajobrazu” i „Pozy i akty”, tom opowiadań „Sny w słońcu”, przekład powieści młodego pisarza radzieckiego — Anatola Gładilina „Brylantyna podnosi żagle”, reportaży pt. „Gorączka ziemi” nagrodzonych na konkursie.

— Zapewne też kolejne pozycje ma pan w przygotowaniu?

— Niektóre są już gotowe. W PIW ukaże się w tym roku kolejny tom wierszy, chyba najambitniejszy z dotychczasowych, pt. „Środek gwaru”. Jest to efekt szukania nowego miejsca dla człowieka w współczesnym świecie, choć ta formuła nie obejmuje, naturalnie, całości tomu. Ale na pewno oznacza on zerwanie z problematyką poprzednich tomów, problematyką bardzo osobistą, kameralną, powiedziałbym — biograficzną. Ten nowy tom otwiera moją lirykę na sprawy społeczne, obywa-

telskie, cywilizacyjne, a więc stanowi dla mnie jak gdyby drugie odkrycie poezji.

Także w tym roku ukaże się w Naszej Księgarni tomik wierszy dla dzieci „Ziarenka maku”. Prawdopodobnie też jeszcze w tym kwartale teatr „Marcinek” wystawi moją sztukę lalkową „Cesarski słownik”, opartą na motywie z Andersena.

— Znana jest pańska działalność społeczna: w klubie „Od nowa”, a także jako opiekuna początkujących poetów. Jakże doświadczenia wynosi pan z tej pracy?

— Będąc dobrych kilka lat temu przewodniczącym Koła Młodych przy Związku Literatów, byłem zmuszony nieraz do oceniania wierszy młodszych, a także starszych kolegów. Od tej pory polubiłem tę pracę i staram się ją w miarę możliwości kontynuować. W Klubie „Od nowa” już bodaj cztery lata organizuję imprezy artystyczne, spotkania literackie, spotkania z naukowcami, działaczami społecznymi, plastykami, dyskusje. Dokonujemy tu również prezentacji młodzieży artystycznej. To stwarza, rzecz jasna, wiele okazji do osobistych kontaktów, przyjaźni i... animozji.

— A więc próba przeciwdziałania dezintegracji poznańskiego środowiska artystycznego, głównie literackiego?

— Dezintegracja? Co to znaczy? Jeśli zostaje oparta o przesłanki ideowe czy artystyczne i wyraża się w różnorodnych dziełach — nie jest rzeczą złą. Taka dezintegracja jest naturalna i chciałoby się rzec konieczna. Natomiast dezintegracja oparta na prywatnych czy osobistych przesłankach, na podziałach na „blondynów i brunetów”, na osobistych animozjach, to zjawisko szkodliwe. Rozmaitość postaw sprzyja integracji, o ile zachowuje się szacunek dla poglądów i postaw przeciwnych. Taka polaryzacja postaw ideowych i artystycznych u nas istnieje, brak natomiast dyskusji i chęci do wyrazistego określania własnych stanowisk. Wydaje się jak gdyby istniała wręcz tendencja do zacierania tych różnic. Taka fikcja może budzić podejrzenia o wzajemną nieszczerłość. A chyba lepiej, gdy ludzie mają własne twarze niż pożyczone. Przyszłość poznańskiej literatury rysuje się, jakby nie było, pomyślnie: pojawiło się grono młodych, dobrych i oryginalnych poetów, ukazują się interesujące debiuty prozatorskie i dramatyczne, ale oczywiście, chciałoby się, aby te zapowiedzi były nie tylko dobrymi zapowiedziami.

— A co pan, osobiście, ma jeszcze w zanadrku?

— Nakładcy szuka dalszy, gotowy już tomik wierszy oraz powieść młodzieżową. Aktualnie zaś pracuję nad drugim tomikiem wierszy dla dzieci oraz nad poetyckim dramatem o Marcinie Kasprzaku.

Rozmawiał:
MIECZYSLAW SKAPSKI

JÓZEF RATAJCZAK

Stacja czyli dom dla ucznia

Gdy „wyż” się przesuwa

Jakże swojsko brzmi słowo stacja. Znamy je dobrze z literatury młodzieżowej. Na stacjach mieszkali przecież bohaterowie „Syzyfowych prac” Żeromskiego i „Wspomnień niebieskiego mundurka” Gomulickiego i tylu innych opowieści o szkolnych dolach i niedolach. Ostatnio młode pokolenie coraz częściej styka się z nimi bezpośrednio. Renesans stacji, jak to nietrudno zgadnąć, wiąże się z przemieszczaniem demograficznego wyżu ze szkół podstawowych ku zawodowym i średnim ogólnokształcącym. Już w tym roku mamy w tych szkołach o 30 tys. więcej uczniów niż w ubiegłym. Przyszłe lata przyniosą dalszą zwyżkę.

Prawie wszystkie większe ośrodki oświatowe mają internaty. Bez nich tysiące młodzieży ze wsi i małych miasteczek nie mogłoby wyuczyć się zawodu lub musiałoby poprzestać na wykształceniu podstawowym. Zwiększając się z każdym rokiem liczba absolwentów klas siódmych powoduje zwiększony napór na internaty, w których ilość miejsc wzrasta o wiele wolniej niż liczba kandydatów.

W zeszłym roku w 1802 internatach było 228 881 miejsce, lecz pod internatowym dachem znalazło się 266 820 uczniów liceów i szkół zawodowych, co oczywiście oznaczało... przepelnienie. Rok 1965 zamknijemy, jeśli wszystko pójdzie sprawnie 1842 internatami. Liczba miejsc wzrosła do 240 000, a liczba faktycznie korzystających do 277 000. Stąd wynika jasno, że nowe miejsca nie przyniosą ani rozegzerczenia, ani nie zmieniają na korzyść procentu korzystających z tego niewątpliwego dobrodziejstwa. Przeciwnie: w zeszłym roku w internatach mieszkało 3,2 procent uczniów liceów ogólnokształcących i 26,7 procent uczniów szkół zawodowych, a w tym roku pomimo 40 nowych obiektów wskaźniki wyniosły będą 9 i 25,5 procent. Naturalnie obok większej troski o dalszą rozbudowę internatów, potrzebne są środki zaradcze na już, na teraz. Na tym też zrozumiały staje się renesans stacji.

W 82 numerze Monitora z grudnia 1965 roku ukazało się rozporządzenie

Ministra Oświaty dotyczące stacji uczniowskich. Stanowi ono, że osoby trudniące się wynajmowaniem stacji muszą otrzymać z właściwego inspektoratu czy wydziału oświaty i kultury zezwolenie, przedkładając dokładny opis lokalu oraz zobowiązanie, iż zapewnią uczniom właściwe warunki opieki i atmosferę wychowawczą. Ponadto corocznie muszą przedstawiać zaświadczenia kompetentnej placówki służby zdrowia stwierdzające, iż w mieszkaniu istnieją odpowiednie warunki sanitarne, że nikt z współlokatorów nie choruje na gruźlicę itp.

Rozporządzenie zastrzega także władcom oświatowym prawo cofnięcia zezwolenia. Przedstawiciele władz szkolnych mają również mieć zagwarantowane prawo kontroli lokalu, w którym mieści się uczniowska stacja. Każdy inspektor czy wydział oświaty będzie prowadził rejestr stacji.

Zarządzenie dotyczy wyłącznie osób odpowiadających pomieszczeniu uczniom za opłatą. Z tej grupy wyłącza się krewnych, nawet w przypadku jeśli otrzymują od rodziców dziecka jakiś ekwiwalent.

Zarządzenie ureguje zapewne liczne nieuporządkowane dotychczas sprawy natury formalnej. Lecz nie o to tu głównie chodzi. Jeśli ma ono przyczynić się do stworzenia najwłaściwszych warunków życia i nauki uczniowi przebywającemu przez 10 miesięcy poza domem rodzicielskim, potrzebna będzie stała współpraca szkoły ze stacją. To coś więcej niż kontrola, mogąca ujawnić np. że gospodarze mimo deklaracji prowadzą tryb życia nielicujący z pojęciem „atmosfera wychowawcza”. Skoro niestety liczni rodzice nie bardzo potrafili pokonać zbytniej wybujałej temperamencie dzieci lub nakłonić je do systematycznej pracy, trudno wymagać tych umiejętności (i poświęceń), tego rodzaju pedagogicznych talentów od osób postronnych. Nasi nauczyciele, którzy mają już niejedną sukces w zakresie współpracy z domem, teraz będą zapewne szukać dróg współdziałania.

Odpowiedzialność dzisiejszych i przyszłych gospodarzy stacji wobec powierzonych im uczniów, nie może polegać jedynie na traktowaniu ich jako sublokatorów. Niechże sobie czasem przypomną, że mają do czynienia z dzieckiem potrzebującym życzliwego, ciepłego słowa; że właśnie pod ich dachem zaczyna on okres samodzielności, pierwszych konfrontacji z życiem. „Szczep ta domu” pomoże mu w nauce, ułatwi asymilację w nowym środowisku. Choć nie ma o tym mowy w zarządzeniu, jednak wynika z jego intencji i zwykłej, ludzkiej przyzwoitości.

*) Współpraca szkoły ze stacjami uczniowskimi istnieje od kilku lat w Poznaniu. Obejmuje ona około 1 500 uczniów. (przyp. red.)

ulworzenie na wzór Studium Nauczycielskiego — Studium Agronomii Społecznej, którego pierwszy rok miałyby charakter stacyjny, a drugi zaoczny.

POZNAŃSKI KONKURS NA POWIEŚĆ

Pod tym tytułem Włodzimierz Maciąg przedstawia w „Życiu Literackim” swoje uwagi na temat rozstrzygniętego w tym tygodniu konkursu literackiego na powieść współczesną zorganizowanego przez Wielkopolskie Towarzystwo Kulturalne.

„Konkurs poznański — pisze autor — zwraca uwagę z kilku względów. Był to konkurs otwarty, nadano mu zasięg ogólnopolski, czemu organizatorzy zawdzięczają bardzo dużą ilość nadesłanych prac (123 maszynopisy). Jury było dość liczne, przecież lektura prawie tysiąca arkuszy wydawniczych wymaga nie tylko czasu, ale przede wszystkim sprawnej organizacji. I tu Poznań zaprezentował się z najlepszej strony (...)

Jestem przekonany, że obie powieści konkursu obdarzone najwyższymi nagrodami (J. Znamierowski i J. Jesionowski — przyp. lekt.) wzbudzą szerokie zainteresowanie. Poczytność zdobyła zapewne także inne, nagrodzone i wyróżnione (...). Ten plan konkursowy może nie tyle ilościowy, co przede wszystkim jakościowy, pozwala uznać imprezę poznańską za bardzo pożyteczną i w całej pełni udaną”.

KOŹMIŃSCY „CZERWONI”

Stanisław Podemski przedstawia w „Prawie i Życiu” inicjatywę Związku Młodzieży Socjalistycznej, który w koźmińskim zakładzie poprawczym zorganizował grupę ZMS. Organizacja młodzieżowa w zakładzie poprawczym — już to może wzbudzać wątpliwości. Czy uzasadnione?

„Czy przykład Koźmyna zasługuje na upowszechnienie — zapytuje autor. — Czy pojedynczy przypadek pozwala wyciągnąć generalne wnioski? Na jedno i na drugie za wcześnie. Zasługuje jednak na życiwe zainteresowanie, pomoc, uznanie dla nowej śmiałej inicjatywy organizacji, która coraz bardziej poczuwa się do odpowiedzialności za całą młodzież, także za tę przestępczą”.

MAŁY, WŁASNY DOMEK

Prawie każdy o nim marzy, ale gdy dochodzi do realizacji, rozpoczyna się nie lada kłopoty. Pisze o nich Danuta Majewska w „Tygodniku Demokratycznym”, przedstawiając opinie posiadaczy domków jednorodzinnych, niedosłownego posiadacza, Ministerstwa Go-

Ernestyna Skurjat

RODZINA DOWŁASZÓW

Dowlasz... to ma być nazwisko? Nie, nie znam ich, może z widzenia. — Zapytana spojrziała na męża. — A, ten Dom Rodzinny? Niech pani tak mówi od razu. Jeden przystanek autobusem i pod górke. Niebieski dom.

Wprawdzie trudno o zmierzchu rozpoznawać kolory, ale wiedzioną piękną aleją dotarłam do dużej willi. Chyba tu. Dzwonię. W drzwiach wita mnie ogromna miotła trzymana przez jakiegoś młodzika.

— Proszę bardzo, tatuś czeka na Panią.

— A pani domu nie zastałam? — pytam gospodarza.

— Niestety, Polska krajem uczących się — wyjaśnia głowa 20-osobowej rodziny, zapraszając mnie do „wiklinowego” saloniku. Na stole — własnej roboty rysunki techniczne szafa-gablotek, kombinowanych na potrzeby pokaźnej gromadki.

Pan Dowlasz, z zawodu nauczyciel (podobnie jego żona) to zapalony pedagog, wychowawca — zrażony niezawsze wzorową atmosferą Domów Dziecka. Ubodło go to, że sieroty, aczkolwiek w niezłych warunkach materialnych, żyły apatyczne i skryte w sobie. Brakowało im szczególnie matki, w tym najcieplejszym słowa znaczeniu. Powziął myśl wychowania kilkunastu sierot. Do zrealizowania tych planów doszło w czerwcu 1958 roku. Wtedy to młodzi zapalenicy z dwójgiem własnych i gromadką przybranych dzieci wprowadzili się do ruin willi w lasach Szczecina — Kłeskowa. Zabrali z sobą dzieci tak zahartowane, „żeby spadając ze strychu do piwnicy nie sobie nie zrobili”, a taki upadek ze względu na brak poręczy, ba! stropów i miejscami dachu był zupełnie możliwy. Wspólnymi siłami przygotowano willę (jeszcze bez pomocy jakiegokolwiek instytucji) do względniego użytku. Pożywienie w dalszym ciągu noszono w menażkach z sąsiedniego Domu Dziecka. Część tamtych dzieci po zdobyciu zawodu wyruszyła w świat, pracując teraz w różnych zawodach, przeważnie rzemieślniczych. Atmosferę tamtych lat, życia w prowizorycznych warunkach (dwa garnki, jeden piecyk, woskowa

„elektryczność”) można będzie odnaleźć w powieści G. Dowlasza „Legenda domu przy ul. Mącznej”, która niebawem ukaże się nakładem wydawnictwa „Iskry”.

Sytuacja zaczęła ulegać zmianie wówczas, gdy dobrze zapowiadającym się eksperymentem zainteresowały się prasa, radio i telewizja.

— Tatusiu, czy możemy wyciągnąć wózek, przywieziemy ze sklepu beczkę kapusty; a brykiety zrzu-

Eksperyment wychowawczy

cimy później — krzyknął wpadając do pokoju umorusany chłopczyk.

Na zapytanie, czy są etaty na kucharkę i palacza, odpowiedział mi p. Dowlasz: — Proszę pani, to jest dom, to nie instytucja. Karmi nas ciocia Zosia, a ogrzewa Dziadzio. Oni też nadprogramowo budzą i usypiają bajkami. W obawie przed utratą rodzinnego charakteru „instytucji” sam zajmuje się księgowością. U nas nie ma mowy o regulaminie: wszelkie domowe roboty wykonują te dzieci, które mają na to czas i ochotę — a mają je wszystkie.

— Obecnie dwanaścioro uczy się w szkole podstawowej, troje chodzi do średniej ogólnokształcącej, pięcioro do zawodówek. Moją ambicją jest wychowanie jednostek trudnych, często psychopatycznych lub mało zdolnych. Nie wszystkie planują dalej się kształcić i nie bardzo by mnie było na to stać. Jednak niektóre z nich marzą o studiach i chcą im to umożliwić.

— Takie dziecko prócz zdobytego zawodu, wynosi z domu obycie. Ale

Eugeniusz Pauksza

Militaria

Zawsze z wielkim szacunkiem i podziwem odnoszę się do zapalonych spacerzy, wyszukujących po nieprawdopodobnych zakątkach przekazy naszej przeszłości. Postać Stanisława Szenica w gronie tych spacerzy imponuje szczególnie różnorodnością zainteresowań, z kolei zaś formą podania ciekawostek odgrzebanych z historii. O to niedawno omawiałem jego książkę „Larum na traktach Warszawy”, a obecnie mamy do zaoferowania nową pozycję „Mars i Syrena”, gdzie ten rozmiłowany warszawiak ukazuje słońce przeszłości w aspekcie wiążącym się z jej wojskowymi dziejami. Wojskowe szkoły warszawskie, Arseniał, odwachy, obozy wojskowe, koszary tamtego okresu — wszystko z dokumentacją, ilustrowane, ubarwione anegdotą, wretem romansowym, niedyskretnymi. Świętynie się to czyta, a i obraz dawnej Warszawy robi się pełniejszy.

W serii pozycji historycznych wydawanych przez MON z takim pietyzmem ukazała się książka bardzo potrzebna, pierwsza właściwie biografia jednej z najciekawszych postaci naszych dziejów. „Jan Henryk Dąbrowski” Gabriela Zycha, to dzieło godne szerszej uwagi, nieomal wzorcowy przykład, jak powinien wyglądać biografia. Tym bardziej, gdy się uwzględni, iż zadanie autora nie było łatwe, bowiem w II wojnie światowej zaginęła większość źródeł, odnoszących się do postaci generała, którego nazwisko tak często wymawiamy śpiewając hymn narodowy. Zych stosując nowoczesną metodę badań historycznych, umiejętnie oddzielając plewy od ziarna, daje obraz epoki i jej bohatera nie tylko wnikliwy, ale i barwny, pisząc stylem jasnym, o literackim zacięciu.

W „Bibliotece Wiedzy Wojskowej” ukazał się ważki tom wspomnień o wojnie domowej „Etapy wielkiej drogi”, ważki zarówno z uwagi na osoby autorów, wywodzące się z kręgu najznamienitszych dowódców radzieckich, jak też z tego, że obala niejedną z fałszywych tez Stalina o sensie, charakterze i znaczeniu poszczególnych odcinków frontu wojny domowej. Przy tym, znów wbrew tezie Stalina, autorzy ukazują wyraźnie bezpośredni kierowniczy udział Lenina w kierowaniu walkami. Książka ta, rozwiewając wiele mitów, w sposób bezpośredni ukazuje i przebieg działań, właściwie w sposób obiektywny ocenia ludzi, odświeżając historię.

najważniejsze — wynosi dobre samopoczucie. To dla nich wielka radość, gdy na urlop mogą przyjechać do starego domu. Jeden z naszych wychowanków przywiózł młodą żonę, by jej się pochwalił swoją rodziną. Z częścią mojej rodziny (bracia, krewni) zerwałem wszelkie kontakty. A to z tego powodu, że traktując dom mój, jako spóźniony wybrzydki młodości, nie chcieli uznać składu nowej rodziny.

— Jak obecnie wygląda organizacja waszego domu?

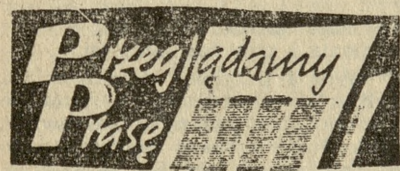
— Finansuje nas Kuratorium Okręgu Szkolnego — Szczecin, choć podlegamy mu pośrednio, bo przez pobliski Dom Dziecka. Przysługujące dzieciom stawki są takie same, jak w Domach Dziecka. Żona i ja jesteśmy na etatach wychowawców. Teraz w siódmym roku istnienia naszego gniazda życie się znormalizowało: spotykamy się z życzliwością władz, tylko nadal, niestety, traktuje się nas jako eksperyment lub instytucję, a nie jak byśmy chcieli, jako normalną, zwykłą rodzinę.

— Tatusiu, tak bym chciał z koleżanką pójść do kina — poprosił strzelając palcami jeden ze starszych.

— Mam tu grupkę nastolatków, które wchodzi już w świat prywatek, matur, spotkań — kontynuuje pan Dowlasz. Trzeba im podwoić kieszonek, pozwalać na zapraszanie rówieśników, kupować radia, płyty big-beatowe. Młodszym — w czas włączając telewizor i uzupełniać arseniał bajek. A ja... wprawdzie pełen satysfakcji z nieprzerwanej, owocnej harówki życie sobie nareszcie pierwszego, po 7 latach urlopu pojętego jako dłuższą wyprawę w głuche lasy.

*

Rodzina Dowlaszów utrzymuje kontakty z podobnymi domami we Francji i Szwajcarii — w celu wymiany dowiadczek. Jest to bodaj pierwszy taki dom w Polsce. Wobec udanego eksperymentu (mającego swoje głębokie psychologiczne uzasadnienie) władze zaleciły Kuratorium poszczególnych Okręgów zakładanie podobnych domów. Idea stała się prawem. Obecnie Polska ma już kilkanaście Domów Rodzinnych, w różnych województwach. Nie ma go jeszcze Poznańskie.



ZBOWID I TERAŹNIEJSZOŚĆ

„Polityka” rozmawia z Mieczysławem Moczarem — ministrem spraw wewnętrznych, prezesem Związku Bojowników o Wolność i Demokrację, na temat działalności tej organizacji po trzecim Kongresie, który odbył się w październiku ubiegłego roku. ZBOWID skupia dzisiaj 210 000 członków. Poza jego szeregiem pozostaje jeszcze kilkadziesiąt tysięcy ludzi. Gen. Moczar przypomina, iż w końcowej fazie wojny walczyło pół miliona polskich żołnierzy, którzy mają pełne prawa stania się członkami tej organizacji.

Nawiązując do lat minionych, rozmówca stwierdza:

„Wyciągnęliśmy rękę do wszystkich ludzi dobrej woli, zaproponowaliśmy taką platformę współpracy, na której mogą się spotkać wszyscy ludzie pragnący pracować dla dobra Polski Ludowej. ZBOWID może stać się dużą siłą społeczną, może odegrać dużą rolę w zbliżeniu się całego naszego narodu do celu, który wszystkim nam jest bliski — osiągnięcie takiego poziomu ekonomicznego i kulturalnego rozwoju, który zaspokajać będzie nasze ambicje narodowe”.

W rozmowie, która przeprowadził Mieczysław F. Rakowski, znajdujemy ciekawe uwagi na temat planów rozbudowy działalności przez ZBOWID wśród emigracji oraz pomocy tej organizacji dla twórców, którzy podejmują tematy z ostatniej wojny.

O POTRZEBACH AGRONOMII SPOŁECZNEJ

Jan Woźniacki na łamach „Tygodnika Kulturalnego” postuluje potrzebę kształcenia ludzi sprawujących nowo utworzone na wsi funkcje — agronomów gromadzkich, nauczycieli SPR, mechanizatorów rolnictwa itp. Wykształcenie w technikach rolniczych jest zdaniem autora dobre zawodowo; brakuje jednak w nim podstawowych elementów wiedzy o człowieku i ćwiczeń prowadzących do umielfanego sprawowania funkcji w agronomii społecznej. Potrzebne dla tych celów przedmioty nie mieszczą się w czasie średniej szkoły zawodowej. Dlatego autor postuluje